

Wypłaszczacze zdrowia

6 lipca 2020

Zamiast walczyć z zarazami, polskie służby od lat zajmują się ich wypłaszczaniem.

Dzięki koronawirusowi dowiedzieliśmy się, że Polska jest najlepsza w świecie w dziedzinie wypłaszczania krzywej zachorowań. Jednym krajom rośnie, innym spada, w jeszcze innych wykres zachorowań przypomina sinusoidę, a u nas od paru miesięcy płasko.

To, że zaraza ani nie rośnie, ani się nie zwija, jest zasługą służb państwa polskiego. Nad publiczną zdrowotnością epidemiczną czuwa wszak kilka instytucji. Jest więc Główny Inspektorat Sanitarny, wraz z podległą mu Państwowa Inspekcja Sanitarna, która, żeby nie czynić niezdrowych skojarzeń, nie nazywa się PIS, ale Sanepid. Na czele tych instytucji stoi powołany na wniosek ministra zdrowia Jarosław Pinkas. Pod sobą ma ok. 18 tys pracowników.

Ustawa stanowi, że inspekcja sanitarna „inicjuje i nadzoruje czynności administracji rządowej zmierzające do zapobiegania i minimalizacji negatywnych skutków zdarzeń dotyczących zdrowia publicznego”.

Zdawałoby się zatem, że ściśle w tym zakresie współpracuje ze znajdującym się w strukturze Ministerstwa Zdrowia, Departament Zdrowia Publicznego i Rodziny. Tymczasem tak nie jest. Departament bowiem zajmuje się „promocją zdrowia oraz profilaktyką chorób przewlekłych, oraz chorób układu sercowo-naczyniowego, nowotworów, chorób układu oddechowego, otyłością i cukrzycą”. Zdrowie publiczne chroni zaś w zakresie ochrony zdrowia psychicznego, uzależnień od substancji psychoaktywnych i uzależnień behawioralnych. Gdy do tego dodać, że Departament Zdrowia Publicznego sprawuje nadzór „nad realizacją zadań Funduszu Rozwiązywania Problemów Hazardowych”, to niech nikt

się nie dziwi, że przez bity miesiąc po pojawieniu się pandemii w Europie, nikt w Ministerstwie Zdrowia niczego w związku z tym nie robił.

Mamy jeszcze instytucję, która winna bronić nas przez zarazą. Nazywa się Państwowy Zakład Higieny. Ale od kilkunastu lat nie broni, bo nie dość, że nazywa się Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego – Państwowy Zakład Higieny, to na dodatek zajmuje się tylko działalnością naukową, czyli badaniami polegającymi głównie na opracowywaniu dokumentów przysyłanych do Instytutu przez Sanepid.

Na pierwszej linii walki z wszystkimi zarazami stoją zakaźnicy, czyli lekarze pracujący w szpitalach zakaźnych, bądź na oddziałach zakaźnych szpitali. Według Naczelnej Izby Lekarskiej, lekarzy z taką specjalnością mamy w Polsce 1113. Co przekłada się na fakt, iż na 40 tys. osób przypada u nas 1,16 lekarza chorób zakaźnych wykonującego zawód.

W Polsce przed koronawirusem działało 85 szpitali zakaźnych lub mających u siebie taki oddział, na których znajdowało się ponad 2 tys. łóżek dla chorych siejących wokół infekcje. Ta liczba tłumaczy dlaczego, gdy przyszła ostatnia pandemia i stworzono 8 tys miejsc dla zakaźnie chorych dodatkowo, system w pierwszych tygodniach się załamał.

Tak skonstruowany mechanizm walki z epidemiami działał u nas od lat. Przygotowując do tego, co mamy z koronawirusem. Do wypłaszczania znaczy.

Dur brzuszny, znany bardziej jako tyfus, ogarnięto u nas właśnie na płasko. Dlatego od lat mamy stałą liczbę zachorowań, czyli 2-3 sztuki rocznie. W porywach – jak w 2017 r. – do 7.

Jeszcze lepiej tę płaskość widać na przykładzie żółtaczki. Wirusowe Zapalenia Wątroby, jak dopadały w epoce przedpisowskiej sześć do siedmiu tys. osób, tak po czteroleciu „dobrej zmiany”, roczna liczba nowych przypadków to od 7 do 8 tysięcy.

Malaria w Polsce też jest constans. Zakażonych rocznie mamy najczęściej tuż poniżej 30 rocznie. Gdyby kogoś dziwiło skąd u nas choroba kojarzona z tropikami, to co gdy okaże się, że po wielu latach nieobecności, w tamtym roku przyłazła do nas nawet cholera. Co prawda tylko w jednym przypadku i na krótko, ale zawsze.

Pamięta ktoś „chorobę szalonych krów” czyli gąbczaste zapalenie mózgu, u ludzi zwane Chorobą Creutzfeldta-Jacoba? Tymczasem lekarzom o niej przypominać nie trzeba. Co roku zjawia się u nich od 25 do 30 osób z tą właśnie linearną zakaźnie, przypadłością.

Genialnie do udowodnienia tezy o wypłaszczaniu zachorowań, nadają się salmonellozy. Po pierwsze jest ich dużo, po drugie wydają się być nie do ogarnięcia. Od dobrych kilku lat zawsze jest ich 9 – 10 tys rocznie. Za to szkarlatyny dwa razy więcej – między 18. a 21 tysiącami. Zapadalność na nią jest stała jak poparcie do PiS. Świadczy o tym, że nikomu z tą zaraźliwą chorobą nie chce się walczyć, bo przecież większość przypadków świetnie leczy się antybiotykami. Po co zatem wywiad środowiskowy, czy inna kwarantanna. Niecały jeden procent ofiar śmiertelnych, to za mało, żeby służby epidemiczne miały z tego robić halo.

Poziomy poziom występowania ospy wietrznej w Polsce, jest dla służb epidemicznych porażką. Jeśli bowiem na coś, na co jest tania i skuteczna szczepionka, choruje 160-180 tys dzieci i dorosłych każdego roku, z czego prawie 1,5 tysiąca trafia przez zarazę do szpitala, to znaczy, że profilaktyki antyepidemicznej u nas nie ma.

Tak samo rzecz się ma z krztuścem, na którego szczepienia są już od ponad 60 lat. Tylko co z tego, gdy co roku na tę chorobę zapada od 1,5 do 7 tys. osób? Zupełną porażką systemu epidemiologicznego w Polsce jest odra. Jeśli w 2017 roku mieliśmy w kraju ledwie 63 jej przypadki, rok później – 359, to co powiedzieć o wystrzeleniu zarazy rok temu do 1511

chorych?

Sytuacją z zachorowaniami na gruźlicę polscy zakaźnicy się chwalą. Nie ma czym. Jeśli w ciągu 5 lat liczba zakażających się w roku spadła z 6311. do 5244, to jak na cywilizowany kraj w XXI wieku, jest to o 5,5 tysiąca za dużo. Zwłaszcza, gdy co roku od lat na tę chorobę zapada kilkanaścioro dzieci.

O ile w przypadku koronawirusa rozprzestrzeniającego się drogą kropelkową zakażyć się jest stosunkowo łatwo, to żeby złapać choroby przenoszone drogą płciową trzeba się trochę natrudzić. I naród – w przeciwieństwie do służb walczących z epidemiami – się trudzi. Jeszcze w 2014 roku posiadaczami krętków białych stało się 1212 osób, ale w tamtym roku, po kilku latach wzrostów, z kiłą stawiało się u lekarza o ponad jedną trzecią więcej.

Czy to za sprawą nieuczenia przez pisowską szkołę o seksie, czy z powodu niemocy służb epidemiologicznych, AIDS, który od 2011 do 2014 miał wypłaszczenie na poziomie 1100 zakażeń rocznie, potem zanotował skok na prawie 1500 przypadków.

Nawet głupia rzeźączka, której już nie trzeba zgłaszać, też załapała się na oficjalną statystykę. Jeśli bowiem w 2017 r. do publicznej służby zdrowia trafiło 321 osób z tryprem, a w tamtym już 558, to jak musi wyglądać to w skali populacji, w której w ramach NFZ nikt normalny się się z tej paści leczył nie będzie. Więc liczbę prawdziwych przypadków uzyska się mnożąc te dane statystyczne, co najmniej przez 100.

Koronawirusa, krętka białego czy zarazka HIV nie widać. Poza tym, od zarażenia się, do pierwszych objawów trzeba trochę poczekać. To wszystko powoduje, że walka z trudno wykrywalnym przeciwnikiem łatwa nie jest. Ale z wszawicą? Ją widać i czuć od razu. Mimo to polskie służby epidemiczne walkę z nią przegrały walkowerem. W latach 2002-2008 raportowana liczba wszawicy skakała z roku na rok o kilkanaście procent. Co zatem zrobiło Ministerstwo Zdrowia?

Ze względu na stwierdzenie braku przenoszenia przez wszy niebezpiecznych chorób wszawica została skreślona z wykazu chorób zakaźnych podlegających rejestracji. Nie ma więc obowiązku zgłaszania przypadków wszawicy do Państwowej Inspekcji Sanitarnej. O chorobie możemy zatem gdybać albo robić badania ankietowe. W takich z roku 2012, robionych w 900 szkołach i przedszkolach wyszło, że 45 proc. dzieci zetknęło się z wszawicą. Teraz nawet takich badań nikt nie robi. Ale z rosnącej szybko z roku na rok sprzedaży aptecznych środków na wszy wynika, że pasożytów przybywa.

Gdyby zatem komuś, po przeczytaniu tego wszystkiego chciało się wierzyć w rychłe pokonanie w Polsce czegokolwiek co jest zaraźliwe, to powinien przebadać się na obecność patogenów znamionujących chorobę Creutzfeldta-Jacoba.

Autorstwo: Tomasz Borowiecki

Źródło: Trybuna.info